Nr. 2. We Lwowie Poniedziałek dnia 13. stycznia 1890

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO”.

Z Berlina.

w styczniu 1890 r.

(Wolny Teatr).

W lecie roku minionego zawiązało się tutaj stowarzyszenie akcyjne osobliwszego rodzaju. Oto stowarzyszeni, w których gronie przeważali pierwiastkowo młodsi autorowie dramatyczni, dziennikarze i literaci, postanowili stworzyć nową scenę, niezależną od obowiązującej cenzury teatralnej. Tak powstał „Teatr wolny“. Stowarzyszeni w zamian za wnoszoną opłatą roczną nabywają prawo bezpłatnego uczestniczenia w widowiskach tego teatru, odbywających się w pewnych odstępach czasu. Liczba członków wzrosła do cyfry 900 osób i ci nie mają prawa kart swych imiennych nikomu odstępować. Nieczłonkowie nie mają wstępu na te przedstawienia nawet za najwyższą opłatą. W ten sposób ominięto interwencję policyjną.

Na pierwsze przedstawienie wybrano dramat Ibsena „Strachy“. W dniu 29. września r. z. śmietanka publiczności tutejszej spieszyła by tę patologiczno-atawistyczną okropność oglądać w interpretacji pod każdym względem znakomitej, gdyż złożyły się na nią uproszone umyślnie najznakomitsze siły artystyczne. Dramat Ibsena znanym był oddawna niemieckiej publiczności z czytania i z przedstawień i dla tego reprezentacja tej sztuki w „Teatrze wolnym“ nie mogła się stać przedmiotem jakichkolwiek protestów albo namiętnej polemiki. I z tego względu postępek komitetu dyrekcyjnego był zupełnie uzasadniony — Ibsen miał być patronem młodej instytucji.

Nie mamy nic więcej do nadmienienia na tem miejscu o słynnym autorze. Można się oburzać pessymizmem i wstrętnymi efektami, jakich zwykł używać w swych sztukach — natomiast każdy musi w nim uznać wyższy talent pisarski i znakomitą, ściśle realistyczną charakterystykę figur wprowadzanych na scenę.

Zupełnie inaczej miała się sprawa z drugiem przedstawieniem odbytem w dnin 20. października, które dało powód do skandalicznych awantur, zakończonych w wiadomy sposób przed kratkami sądowemi. Z pewnego punktu widzenia sądząc należałoby uważać dramat Gerharda Hauptmanna („Przed wschodem słońca“). jako uwieńczony powodzeniem, gdyż wywołał senzację i zwrócił uwagę szerokiego ogółu na autora, którego przedtem nikt nie znał. Akcja rozgrywa się w łonie rozpojonej rodziny wieśniaczej na Szlązku, wśród której występuje apostoł socjalizmu, jako jedyna dodatnia i szlachetna postać. W ostatecznym rezultacie i ten zacny charakter popełnia podłość którejby się niepowstydził najzwyklejszy szubrawiec. Krytyka potępiła prawie jednogłośnie cały ten dramat, jakkolwiek tu i ówdzie odzywały się głosy przyznające autorowi niepospolity talent. Sądzę, że i ci nieliczni łudzili się identyfikując pojęcie talentu z brutalną bezwzględnością. Nie żądamy od sceny ckliwych kadzideł, lecz nie lubujemy się też w zaraźliwym odorze najwstrętniejszego brudu. Usprawiedliwiamy z psychologicznych względów wybór tematów z życia codziennego, które niekoniecznie muszą być arcyprzyjemnymi lecz z drugiej strony każdy przyzna, że nie włazi się z przyjemnością do kloaki chcąc się z nią bliżej zapoznać. Zresztą Gerhard Hauptmann nie jest już wcale wyznawcą szkoły Ibsena. O mistrzowskiej jego formie dramatycznej, o sztuce dania publiczności prawa dowolnego domysłu, o działaniu na jej fantazję — o tem wszystkiem młody autor niema najmniejszego wyobrażenia. Wszystkie swe drażliwe effekty, sytuacje prawdziwie wstrętne, wywleka z całą brutalnością na scenę. Mimo to wszystko dramat „Przed wschodem słońca“ nie jest oryginalnym. Właściwy pierwowzór zachowano dla publiczności „Teatru wolnego“ na później. Pierwowzorem tym jest poronione dzieło wielkiego poety, słowem dramat „Potęga ciemności“ Lwa Tołstoja, rozgrywający się na tle wieśniaczych stosunków w Rosji. Sztuka ta dla dyrektorów „Teatru Wolnego“ była upragnioną akwizycją. Odłożono ją na później skutkiem skandalu wywołanego dramatem Hauptmanna, lecz nie wyrzeczono się bynajmniej myśli wystawienia takowej.

Natomiast trudno pojąć intencje i powody, dla których na trzecie z rzędu przedstawienie wybrano starą sztukę braci Goncourtów p. t. „Henryetta Marechal“. Tłómacz jej pan Mauthner zasiadający w komitecie dyrekcyjnym, był o tyle naiwnym, iż sądził, że sztuka ta przed laty upadła w Paryżu li z powodu protestów podnoszonych przez zwolenników szkoły klasycznej(!) Sztuki tej niezakazywała nigdy cenzura a jeśli żadna z publicznych scen nie zdecydowała się na jej wystawienie, to tylko z powodu, iż jest niesłychanie — nudną.

Ostatnie w minionym roku, czwarte z rzędu przedstawienie w „Teatrze Wolnym“ odbyło się w dniu 15. grudnia. Przedstawiono dramat Björnsolna „Rękawiczka“, który wprawdzie nie odniósł znacznego sukcesu, lecz zdołał przynajmniej zająć publiczność. W dramacie Björnsona rozchodzi się o wcale drażliwą kwestję, a miano wicie o to, czy dziewica może żądać od swego narzeczonego tej bezwzględnej czystości uczuć, jaką mu sama przynosi w ofierze, Björnson

staje po stronie płci pięknej i z tego wywiązuje się dramat, którego główną zaletę tworzą zarysowane z finezją figury dawniejszych winowajczyń.

Niedawno, bo przed kilkoma tygodniami na scenie teatru Lessynga ujrzał światło kinkietów wielce naturalistyczny utwor p. t. *Hônor* Sudermana. Mimo wielu braków, jest to utwor wcale niepospolity, jakkolwiek pod względem wstrętności nie może iść w porównanie z repertoarem „Teatru Wolnego“.

Z komersu „Burszenszaftów“.

Do piwa miałem zawsze wstręt, chociaż się w szkołach niemieckich wychowałem. Nie mogłem znieść tego obrzydliwego trunku, którego całe morze pochłaniają synowie Germanji, trwoniący pół życia nad kuflem. Piwowstręt trzymał mnie zdala od wszelkich „burszenszaftów“. Cerewizka nie zdobiła nigdy mojej czupryny, nie opasałem się ani razu barwną wstęgą korporacji. Byłem w pierwszej młodości zdania ojców naszych, że: *Nullum vinum, nisi hungaricum.*

— Mocium panie, nie ma, jak węgrzyn. I siłę daje i fantazję. Kiedy palniesz butelczynę złocistego płynu, tobyś nawet nieprzyjacielowi buzi dał, a szwabom wszystkie zęby powybijał. Hu, ha!

Tak mawiali dziadowie, pijąc tyle tego złocistego płynu, że aż w krwi wnuków przetrwał... w formie pedogry, chirogry. Z „hu, ha“ zrobiło się... „oj, oj...“

Mimo piwowstrętu, byłbym raz zginął właśnie przez piwo śmiercią niesławną. Rzecz miała się następnie. Jedna z korporacyj wrocławskich wyprawiała wielki festyn studencki (komers). Uroczystość taka znaczy w Niemczech zawsze to samo, co wypić najmniej dwadzieścia kufli, odurzyć się do obłędu, a upiwszy się, jak niemądry, napłatać figli, komu się da, czyli, ściślej mówiąc każdemu, kto w drogę wejdzie. Studentowi niemieckiemu wolno przecież wszystko. Przed policą i stróżami broni go karta akademicka, a senat uniwersytecki wymierza kary tak łagodne, że warto dla nich unurzać „filistra“ w błocie, wywołać zbiegowisko w mieście, poturbować straż bezpieczeństwa itd. W korporacji, którą urządzała ów komers, miałem kolegę z ław szkolnych.

— Jedź z nami — prosił — przypatrzysz się też raz tej zabawnej szopce. Być nie może abyś nie widział nigdy, jak się studenci niemieccy bawią.

— Ale nie będziecie mnie zmuszali do piwa?

— Możesz pić, ile chcesz. Przymusu nie ma.

— W takim razie jadę.

— Wyruszamy jutro, pod wieczór.

Komers miał odbyć się za miastem, w ogródku restauracji wiejskiej. Już sam wyjazd studentów „zirytował“ wszystkich „filistrów“. Bo oto przyszło „burszom“ do głowy... popłynąć przez ulice miasta. Wynajęli kilkanaście wozów żniwnych, na wozy kazali włożyć duże łodzie, do których wsiadło po dziesięciu studentów, zaopatrzonych we wiosła. Las młodych brzozek pokrywał konie i statki sui generis, nad łodzią prezesa powiewała chorągiew stowaszyrzenia. „Płynęliśmy“ poważnie. Konie szły wolno, a studenci wiosłowali po bruku ku wielkiemu weselu tysiąca uliczników, którzy biegli za oryginalną flotą krzycząc: hurrah! Policja, niemocna wobec pustoty studenckiej, śledziła korowód kosem okiem. Żeby tylko mogła „zrobić porządek“. Oho! Ale oni wydobędą zaraz karty i hukną: „studenci jadą! z drogi, hołota!“ Tu i ówdzie przystanął jakiś „niefilister“, dawny student, alter Herr (stary pan) i spojrzał w naszą stronę żałośnie. Przypomniał sobie niezawodnie lata młodości, kiedy był swobodny i szczęśliwy. Swoboda trwa krótko w Niemczech. Gdy się za wyzwolonym zamkną bramy uniwersyteckie — kończy się buta, a zaczyna się czapkowanie, zginanie grzbietu.

Mit dem Hute in der Hand
Kommt man durch das ganze Land.

Człowiek gładki podchodzi wszędzie, w każdym kraju łatwiej od rogatego, ale nigdzie nie popłaca niski ukłon tyle, ile w ojczyźnie... Schillera.

Przybywszy na miejsce, zasiedliśmy naokoło długiego stołu, który złożono z kilkunastu mniejszych. Na czele spoczął prezes, wytrwały bursz, z pokieraszowaną fizjognomją. Dwadzieścia cięć rapierowych miał na twarzy, na czole, na czaszcze. Chlubił się temi śladami odwagi osobistej, jak weteran bliznami ran odniesionych na krwawych polach. Przed prezesem złożono dwa rapiery na krzyż. Znak to jego godności.

Naprzeciw przewodniczącego usadowił się „fuchsmajor“, komendant fuchs'ów czyli studentów najniższego kursu, pełniących przez pewien czas rolę posługaczów, zanim ich dopuszczą do grona prawdziwych burszów. Przed „fuchsmajorem“ leżał ogon lisi, jego władzy znak widomy, panu temu bowiem służy prawo karania „fuchsów“, gdy przekroczą przeciw regulaminowi stowarzyszenia. Tylko wyzwoleni burszowie zasiedli przy stole. Fuchsowie, aspiranci do tej rangi, stali pokornie za krzesłami najstarszych kolegów, zwanych „omszonemi głowami“ (Bemooste Häupter). Ma to znaczyć: tacy starcy, że mech porasta na nich. Mnie, jako goscia, usadzono między takiemi „głowami omszonemi“.

Zaczęła się zwykła pijatyka. Burszowie wychylali kufel po kuflu, które fuchsowie przynosili, szła gawęda, żarty, żarciki, aż rozległ się śpiew. Popłynęło pod stropy niebieskie: Gaudeamus igitur... płynęły pieśni inne, wszystkie butne, szczęśliwe, swawolne, jak młodość i jej pragnienia... W tem zawołał prezes: Rundgesang! Miało to znaczyć: każdy zaśpiewa po kolei zwrotkę, w której wymieni imię swojej kochanki. Poszedł ów spiew wokoło — przyszedł i do mnie. Odurzony już, powtórzyłem znaną zwrotkę i wymieniłem pierwsze lepsze imię. Zaledwie skończyłem, wszczął się gwar.

— Duell, Duell! wołano wskazując na mnie i na drugiego studenta.

Zanim zrozumiałem, o co idzie, pochwyciły mnie cztery silne ramiona i zaciągnęły przed prezesa. To samo zrobiono z drugim studentem.

— Macie tę samą kochankę! — wrzasnął

prezes wśród ogólnego śmiechu — nie ma rady, musicie się bić.

— Jaką kochankę? — pytam.

— Pan opiewałeś wdzięki Wandy i on też. Musi być pojedynek.

Prawda! wymieniłem imię Wandy. Młodość nie chowa rąk po za siebie, gdy wołają, żeby biła, więc sięgam po rapier i mówię:

— Kiedy trzeba, to trzeba.

A oni w śmiech.

— Nie tak, nie tak...

— Więc jak? Po łbie?

Jeszcze większe wesele,

— Podajcie broń! woła prezes.

Oglądam się. Przynoszą dwa ogromne kufle.

— Dla kogo to? myślę sobie — ktoby podołał takim okseftom?

Dwaj studenci napełniają szklanne wiadra, inni podnoszą je ku światłu i mierzą, dolewają, odlewają, aż w jednym tyle, co w drugim.

— *Arma paria sunt* — wygłasza prezes poważnie i podaje mi kufel.

— Cóż mam robić z tą beczką? — pytam.

— Wypić!

— A to z jakiej racji?

Dopiero wykładają mi, że regulamin ich przepisuje pojedynek na piwo, że wypić muszę, bo obraziłbym całe towarzystwo. Taki to już zwyczaj, od którego się nikt nie uchyla.

— Wszedłeś między wrony, musisz krakać, jak i ony — myślę. — Nie ma rady, trzeba wypić, kiedy tak regulamin każe.

Zamknąłem oczy.

— Raz, dwa, trzy — komenderują sekundanci.

Piję — śmiech w około — krzyk — wołanie...

— Er blutet, er blutet...

Nic nie wiem, co wrzeszczą, nic nie rozumiem, tylko piję. Co się potem działo, nie pamiętam. Kiedy się nazajutrz zbudziłem, stał nademną stróż i gderał:

— A to ładnie, a ktoby się był tego spodziewał! Taki porządny pan...

— Cóż się takiego stało?

— Co takiego? Panowie tu pana przywieźli nad samem ranem, wylali przed domem, jak co niedobrego, i pojechali sobie.

Oglądam się.

Spałem rzeczywiście na progu domu, w którym mieszkałem.

Teodor Jeske Choiński.

Dawne Peru i tegoż urządzenia.

przez

Walentego Ćwika.

(Ciąg dalszy)

Obok pięknych domów mieszkalnych i świątyń i innych pałaców wznosiły się, potężne i dziś jeszcze w swych ruinach, twierdze i fortyfikacje, porozrzucane systematycznie wśród szczytów górskich w celu zabezpieczenia ważniejszych miast przeciw napadom nieprzyjaciół.

Środki komunikacyjne, stojące, jak wiadomo, w ścisłym związku ze społecznemi stosunkami kraju, nie miały wprawdzie w dawnem Peru na oku potrzeb handlu lub wymiany wiadomości w rodzaju naszych zakładów pocztowych, zajęły jednak wobec systemu politycznej administracji państwa godne miejsce obok pierwszorzędnych urządzeń Europy. Mamy zwłaszcza na myśli bite gościńce i szosy, odpowiadające słynnym traktom rzymskim.

„Jestem tego pewny“ — mówi Cieza de Leon — „iż cesarz Karol V. pomimo całej swej potęgi nie mógłby wybudować drogi, takiej, jaka prowadzi z Quito do Cuzco lub z Cuzco do Chile nie było bowiem ani tyle rąk ludzkich do dyspozycji, ani nie wykonywanoby budowy w tak wzorowym porządku. Gdyby się rozchodziło o drogę 50, 100 lub 200 leguas*) długą, można by przypuszczać, iż wykonanie jej nie natrafiłoby i pod rządami Karola V. na zbyt wielkie trudności, lecz trakty inków po 1.100 nawet leguas drogie wiodły przez dzikie i strome góry, tak, iż patrząc w głębię doznaje się zawrotu głowy. Wykuwane u ścian spadzistych skał przy pomocy ognia, przemienione wśród stromych miejsc w schody z szerokimi przestankami w celu wypoczynku, dążyły one tak dobrze wzdłuż grzbietów gór przez groźne przekopy śnieżne, jak i przez dziewicze lasy lub bagna — wygładzone, wyrównane, wykładane kamieniami, płytami, stosowne do potrzeb i warunków terenu. Gościńce te 15—20 stóp szerokie, były zupełnie czyste, surowo bowiem baczono, by żaden kamyk żadne źdźbło nie leżało na trakcie. W zaludnionych okolicach wznosiły się wzdłuż dróg pałacyki i gospody dla wojska, wśród śnieżnych i pustych szlaków budynki dla ochrony wędrowców od deszczu i zimna; nie brakło też i miloskazów. Pragnąc wybudować nową drogę nie potrzebował monarcha długiego namysłu ani surowych rozporządzeń i rozkazów; „niech stanie!“ rzekł, a na to władcy słowo spieszyli inżynierowie ku wskazanym miejscom, wytyczali gościńce zwolywali mieszkańców i objawiali życzenie panującego.

Raźno zabierała się każda prowincya do pracy i doprowadzała własnemi siłami rozpoczęte dzieło do skutku. W bezludnych okolicach dostarczały sąsiednie osady, robotnikom wiktuałów i narzędzi. Jak wysoko cenili swą godność monarchowie Peru, świadczy okoliczność, iż podróżując posługiwali się osobnym rylakiem, podczas gdy świta ich drugim pospieszała traktem. Po śmierci monarchy zwykł był następca przed odbyciem dalszej podróży, lub większej wyprawy wojennej nową budować drogę, starając się przytem prześcignąć przodków w dziele i uwiecznić swe imię w obec potomnych pokoleń. W ten sposób przetrwały wieki trakty Yupanke, Tupaka i Huayna Kapaka.

Wspomnieliśmy o traktach z Quito do Cuzco i z Cuzco de obecnego Chile. Pierwszy z tych gościńców — w obec pokonanysh fizycznych przeszkód najpotężniejsze dzieło — prowadził przez dzikie, śnieżnemi masami zawalone, niekiedy 12000 stóp i wyżej piętrzące się góry, zabezpieczony wzdłuż milowych przestrzeni kutemi w skale galeryami, zaopatrzony w spadzistych miejscach wyżłabianemi żmudnie schodami, wykładany wśród urwisk twardym kamiennym murem. Wszystkie górskim okolicom właściwe

*) leguaus równa się 6. kilometrom.

trudności, zdolne odstraszyć najbardziej przedsiębiorczego technika naszych czasów, pokonała tutaj wytrwałość i skrzętność mieszkańców. Jeżeli się w dodatku zważy brak odpowiednich narzędzi, brak nawet kutego żelaza, jeżli się zważy, iż wykonano dzieło przyrządami z bronzu i kamienia, łatwo zrozumieć podziw zdobywców, uznanie obecnych badaczów ruin minionej wielkości.

Głęboko sięgała podstawa gościńców, utworzona z wielkich i ciężkich ciosów, powleczona gdzieniegdzie krzemienną warstwą, która z biegiem czasu nabrała twardości granitu. W niektórych miejscach, gdzie urwiska wypełnione były murowaną ścianą, podmyły, spłukały później strumienia podnóża budowy; górne warstwy kamienia przetrwały jednak do obecnej chwili, dzięki silnemu spojeniu i utworzyły po nad przepaścią łukowe pomosty.

Mieszkańcy Peru nie znali przed przybyciem hiszpańskich najezdców użytku wozów, ani koni, to też drogi ich służyły wyłącznie dla przemarszu wojsk, dla pieszych podróżnych i lam dźwigających juki. Tem tłumaczy się zjawisko, iż drogi na stokach gór stromych przemieniano w długi szereg schodów i przestanków, co stanowiło później największą trudność dla ruchów hiszpańskiej konnicy.

Po płaszczyznie między Kordylerami a oceanem wił się z Cuzco długi szlak inków. Stosownie do właściwości niskiego i piaszczystego przeważnie gruntu, odmiennem było tutaj wykonanie budowy. Gościniec wznosił się na wysokim wale, ujętym z obu stron w szkarpy. Rąbkiem otaczały drogę drzewa i woniejące krzewy, krzepiąc wędrowca wśród zwrotnikowych upałów cieniem i zapachem. W piaszczystych puszczach, gdzie lekka sypka ziemia stała na przeszkodzie wykonaniu należytego traktu, umieszczono, widoczne do dziś dnia jeszcze, słupy, jako drogoskazy dla wędrowców.

Głębokie doliny, urwiska, bezdenne przepaści dzielące szczyty Kordylerów, poprzeżynane wezbranemi rzekami, rwącemi potokami wymagały wznoszenia licznych mostów. Budowa ich nielada przedstawiała trudność dla ludzi, nieznających sklepionych łuków, niemających odpowiedniego budulca. Niedziw więc, iż niewiele wznoszono kamiennych mostów, lecz urządzano raczej kładki na rozpiętych powrozach z łoziny, przymocowanych do wysokich słupów u brzegu, wyłożonych w poprzek deskami, związanych postronkami i rzemieniami i zaopatrzonych w sznurowe poręcze. Częstokroć rozpinano po nad nurtami jeden silny powróz konopiany i umieszczano na nim kosz dla 4 osób, urządzony do przesuwania za pomocą sznura. Gminy mające obowiązek utrzymywania w dobrym stanie dróg i mostów, pobierały za zezwoleniem monarchy drobną opłatę uiszczaną przez podróżnych naturalnie nie w pieniądzach, te bowiem nie były wówczas w państwie znane. W celu przeprawy przez większe a spokojnie płynące wody posługiwano się żaglowemi tratwami, które wraz z barkami prymitywnej konstrukcji stanowiły jedyny środek wodnej komunikacji. Ciekawe są szczegóły, które podaje nam Humboldt o przewozie listów za pośrednictwem pływających posłańców, zwłaszcza z Truxillo do prowincji Iaen de Bracamoros na Rio de Chamaya i na Amazonce.

Brak dróg, dziewicze, pełne niebezpieczeństw bory zniewalają tam posłańców do odbywania kursów wśród fal rozległych rzek i strumieni. Wetknąwszy listy i machettę czy li nóż za uwity na głowie turban puszcza się goniec, wsparty na belku z lekkiego drzewa, w wezbrane nurty rzeki, płynie i płynie do celu podróży, to się zagłębia, znika wśród bałwanów, to znów podnosi na powierzchnię wody i tylko wówczas stąpa na ląd stały jeśli doniosły łoskot i szum wodospadu, niechybną śmiałkowi zwiastują zagładę. Po ominięciu groźnego miejsca powraca znowu niezmordowany pływak w objęcia żywiołu. O pożywienie nie potrzebuje troszczyć się wśród dróg, gdyż w rozrzuconych nad brzegami chatach doznaje wszędzie gościnnego przyjęcia Wiele plemion indyjskich z nad brzegów górnej Amazonki, odbywa w ten sposób swe podróże, płynąc z prądem wody w grupach po 30—40 osób obojga płci i rozmaitego wieku.

Powróćmy do dawnego urządzenia Peru, gdzie przybysze hiszpańscy spotykali gęsto rozsiane miasta i wioski, ogrody i sady, ślady starannej uprawy roli i liczne stada lam bujających wśród żyźnych łąk i wypasów. Obok dróg widniały, jak wspomnieliśmy, gospody (tampu) przeznaczone w pierwszym rzędzie dla przemarszu wojska, niekiedy dla monarchy i tegoż świty, tudzież dla ogółu podróżnych. Były to z ciosów wzniesione budynki, znacznych częstokroć rozmiarów, otoczone kamiennym murem, z zapasami pożywienia dla 20.000 wojska. Szczegółowe przepisy normowały sposób utrzymania i uzupełnienia zapasów.

Wyborne drogi inków ułatwiły szybkie przesełanie wiadomości, rozkazów i zleceń władzy, bądź to ustnie, bądź przy pomocy pęku sznurków. Gońców rekrutowano z grona najsprytniejszych i najzaufalszych obywateli, wykształcano poprzednio ich w zawodzie. Odrębne odzienie zastosowane do szybkiego biegu, odróżniało ludzi tych od innych mieszkańców państwa i zapewniało im wrazie potrzeby szlachetną pomoc u ogółu publiczności.

Służbę swą spełniali tylko przez czwartą część roku, w którym to czasie zaopatrywano ich z publicznych szpichlerzy, zwalniano od wszelkiej pańszczyzny i otaczano wysoką czcią i poważaniem. Karani śmiercią za zdradzenie tajemnicy przestrzegali jej całą z całą stanowczością i ani podarki ani groźby nie były zdolne zniewolić ich do nadużycia zaufania. Na czterech wielkich wojskowych szlakach stały w sześciokilometrowych odległościach domy pocztowe, małe drewiane słomą pokryte chaty, jako gospody posłańców, mieszczące w czasach pokoju czterech, w czasach wojny ośmiu, dziesięciu i więcej ludzi gotowych do służby. Część wypoczywała w chacie, dwóch zaś trzymało straż przed domem, rozglądając się pilnie, ażali nie ujrzą ognistych sygnałów. Skoro który zoczył znak płomienia lub dymu, podpalał też bezwłocznie przygotowany stos drzewa jako sygnał dla sąsiedniej czaty, i biegł naprzeciw oczekiwanego towarzysza, by zanim tenże zdąży do celu, dowiedzieć się o zleceniu, odebrać sznurki lub pakunek.

(Dok. nast.)